

Stanisław Mikke

Misja : część 2 : Ostaszków-Miednoje

Palestra 36/3-4(411-412), 3-22

1992

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stanisław Mikke

M I S J A

CZĘŚĆ II

OSTASZKÓW - MIEDNOJE

11 sierpnia rano, w dzień po pogrzebie ekshumowanych szczątków polskich oficerów wymordowanych w Charkowie, raz jeszcze jedziemy na tamto miejsce, do VI leśno-parkowej strefy miasta, do Piatichatek. Wczoraj, podczas mszy żałobnej, nagle zerwał się porywisty wiatr. Błyski, grzmoty w chwili Podniesienia, a zaraz potem potworna ulewa. Wichura łamała ciężkie suche konary. Naprawdę niewiele brakowało, a potężna kilkumetrowa gałąź zraniłaby szefa miejscowego KGB - generała Gibadułowa. Dziś pogodnie, bezwietrznie. Grzeczniemy tylko w gliniastej rozmokłej ziemi. Mogiła, jeszcze otwarta, usłana wieńcami kwiatów. Na kopcu ziemi kilkadziesiąt przywiezionych przez rodziny biało-czerwonych chorągiewek z nazwiskami i stopniami wojskowymi pomordowanych. Staję po raz ostatni, po raz ostatni w życiu, zapewne, nad tym polskim grobem. Zapalamy świeczki zgaszzone wczorajszym deszczem. Dotykam dębowego, siedmiometrowego krzyża. Chwila zadumy.

Ruszamy w drogę. Czeką nas blisko tysiąc kilometrów. Cel podróży: Twer, do niedawna jeszcze Kalinin. Miejsce mordu Polaków uwięzionych w Ostaszkowie.

Jeśli już zdecydowałem się na relację z pewnymi, często niezbyt „wygodnymi” szczegółami, to muszę odnotować i to, że polska ekipa została pozbawiona szefa. Prokurator Stefan Śnieżko został odwołany do Warszawy w pilnym trybie. Nie wiadomo było, czy wróci. Wśród członków ekipy, z których, dodajmy, żaden nie mówił po rosyjsku, zapanaowała atmosfera niepokoju i niepewności. Miałem okazję zaobserwować skutki nagłego pozbawienia grupy ludzi jej kierownika. Wykorzystali to natychmiast nasi gospodarze. Z trudem wypracowana nie tylko „równowaga sił”, ale nawet pewna nasza psychologiczna przewaga, zniknęła w jednej chwili. Niby nic się nie zmieniło, pozostała ta sama odmiana kontrolowanej uprzejmości, ale dla każdego uważnego obserwatora było widoczne, że ubolewanie z powodu tego „przykrego incydentu” w rzeczywistości wyraża coś całkiem odmiennego.

W trakcie pobytu w Charkowie wykruszali się jeden po drugim dziennikarze, nie wykazując zainteresowania dalszą działalnością misji. Ich ciekawość (nieprzypadkowo używam tego właśnie słowa) została już zaspokojona. Ostatni wrócili do kraju wraz z delegacją rządową. Z dziennikarzy zostałem ja i ów ba-

wiący się człowiek z agencji informacyjnej, którego zachowania, z tragicznym epilogiem w twerskim motelu, opisałem w I części. Zdezelowanym autobusem jedzie jeszcze z nami trójka filmowców z przestarzałym sprzętem.

Wcześniejsze postęпки tak zwanych osób towarzyszących powodują, że raz po raz słyszę słowa wypowiedane do Rosjan przez tymczasowego kierownika polskiej ekipy, iż ci tam, a wśród nich ja, to odrębna grupa. To, że nie należymy rzekomo do delegacji, jest podkreślane przy każdej okazji podczas podróży, na przykład podczas posiłków, i po przyjeździe do Tweru. Ten ktoś widać zapomniał, że jesteśmy oficjalnie akredytowani przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych. To, że jeden z tej grupy nie został odesłany po pierwszych wybrykach, nie zmieniało faktu, że wszyscy znajdowaliśmy się na obcej ziemi. Nie tylko elementarna solidarność, ale przede wszystkim podstawowy obowiązek tego, komu powierzono odpowiedzialność za losy misji, zakazywał ostentacyjnego odcinania się od kilku osób ze względu na „niższy status” ich uczestnictwa. W owych dniach postępowanie tego pana wywoływało zrozumiałą chyba irytację. Dzisiaj to przypomnienie nie ma charakteru odpłaty lub skargi. To raczej lekcja, niestety, bardzo podstawowa, której ten ktoś zawczasu nie odebrał i dla niego wszelkie nauki spóźnione, ale która być może komuś jeszcze innemu się przyda.

Przed motelem w Twerze przywitana nas grupa oficerów radzieckich. Jest wśród nich znany mi pułkownik ze Sztabu Generalnego Armii Czerwonej. Wita się oschle ze wszystkimi, już jawnie powraca do nie tak dawnego okazywania wyższości. Oficer ten, nieco zaskoczony,

wysłuchuje informacji, że dwaj dziennikarze i trzech filmowcy „sami sobie organizują pobyt” (!). Mimo to wydaje polecenie, aby i nas zakwaterować. Jak się niebawem okazało, załatwił również korzystanie z motelowej restauracji. Bo trzeba wiedzieć, że w tamtym kraju zamieszkiwanie w hotelu nie jest równoznaczne z prawem do obsłużenia w restauracji. Ekipa jadać będzie, o czym przekonamy się za godzinę, osobno, w „bankietnom zale”. Na szczęście, myśłę sobie. Ja płacę sam za siebie. Członkowie ekipy (niektórzy z nich przyjmowali to z najwyższą niechęcią, ale z tego, co wiem, z sytuacji tej nie mieli możliwości się wywikłać) pozostawiali bodaj na utrzymaniu jakichś władz radzieckich. Tak to, w każdym razie, wyglądało. I tak te okoliczności komentowali niektórzy Rosjanie. Podnoszą to nie dla sensacji, ale gwoili prawdy. Bo my wszyscy uczestniczyliśmy nie w jakiejś tam eskapadzie, w której takie „detale” nie mają znaczenia, lecz w wydarzeniu o wymiarze historycznym, do którego, piszę to z najwyższym żalem i oburzeniem jednocześnie, nie przywiązano, niestety, właściwej wagi. Za ilustrację skandalicznych zaniedbań organizacyjnych niech posłuży opis podróży w drodze z Charkowa do Tweru. Jesteśmy na łasce konwojującego nas, niezbyt rozgarniętego, radzieckiego żołnierza, który milczy jak zaklęty. Myli w pewnej chwili trasę, musimy nadrabiać kilometry. Nie mamy żadnych informacji, gdzie się zatrzymamy. Późnym wieczorem dojeżdżamy do Nikolska. Baraki jakiegoś wojskowego ośrodka wypoczynkowego. Brud, smród, brak ciepłej wody. Nad ranem jeden z członków, rządowej, na Boga, delegacji, z którym dzielę pokój, zrzucił z siebie szczura siedzącego mu na klatce piersiowej.

Tak, byli i tacy, którzy podczas tego nadzwyczaj trudnego wyjazdu do Związku Sowieckiego nie wytrzymali ciśnienia i zdradzali syndrom niewolnika. Ale to naprawdę wyjątki. Warte tylko dlatego odnotowania, by raz jeszcze uzmysłowić, że z zaakceptowanego zniewolenia nie każdy jest się w stanie wyzwolić.

Niech jednak nikt nie zwątpi w najlepsze świadectwo, jakie dała większość Polaków - członków misji, zyskując - mimo stworzenia chwilami upokarzających wręcz warunków - nie tylko poważanie, ale i posłuch przedstawicieli strony sowieckiej. A o to ostatnie - jak się łatwo można domyślić - bywa u nich wyjątkowo trudno. Tak było w Charkowie. I tak w Miednoje, gdzie kilkunastu rodakom przyszło się zmierzyć z trudnościami nie do wyobrażenia. Jeśli misja skończyła się i tam znaczącymi ustaleniami, to dzięki wytrwałości właśnie tych nielicznych. Dzięki ich nadludzkiemu wysiłkowi. Dlaczego tak mało o tym w pojawiających się przekazach? No cóż, sami o sobie na pewno mówić i pisać nie będą. O rzetelne zaś informowanie społeczeństwa na temat tego, co działo się Miednoje, w ramach karygodnych zaniedbań, nikt się nie troszczył.

13 sierpnia, 10¹⁰ wyjeżdżamy z Tweru do Miednoje po raz pierwszy. Jesteśmy w innym klimacie, niż tym, gorącym, jakiego zazналиśmy na południowo-wschodniej Ukrainie. Ciężkie granatowe chmury; przez nie przedziera się momentami ostre słońce. Chłodno. Jedziemy wynajętym przez KGB miejskim autobusem. W charakterze przewodnika bezbarwny, robiący wrażenie nieśmiałego, mężczyzna w cywilnym ubraniu. Motel położony na krańcach miasta. Nie musi-

my do niego wjeżdżać. Po kilku kilometrach omijamy milicyjne roгатki i jesteśmy na szosie Leningrad - Moskwa. Po lewej stronie drogowskaz z nazwą Miednoje, ale kierowca na to nie zważa. Przejedźdżamy rzekę Twiercę. Jeszcze około 10 kilometrów i kolejny drogowskaz: Miednoje. Teraz dopiero skręcamy w lewo krętą leśną drogą. Potem wiejskie kolorowe domy, zielone, niebieskie, szare. Dość zadbane. Znów las, młody, liściasty i następna wieś Jamok. Tylko kilkanaście domostw. Potem nieprawdopodobnie brudny kolchoz. I zaraz zaczyna się bardzo wąska, z ostrymi zakrętami asfaltowa droga. Prowadzi nieco pod górę. Widać ogrodzony, zalesiony teren. Metalowa siatka na podmurówce. Brama zamknięta na ciężkie kłódki. Przy niej znak zakazu wjazdu. Jedziemy w lewo, a potem dwa kilometry wzdłuż ogrodzenia. O godz. 10⁴⁵ zatrzymujemy się przy zdjętej ze słupka metalowej siatce. Po drugiej stronie tak otwartego ogrodzenia dwa wojskowe namioty. Nikogo tu nie ma. Idąc dalej dostrzegamy, że teren przegrodzony jest nową siatką. Docent Marian Głosek, archeolog, zerka na piasek wokół słupków. Mówi, że prace ukończono dziś rano (!), gdyż na piasku nie ma śladu deszczu, a w nocy mocno padało. „Co tam jest za tym ogrodzeniem?” - pytamy naszego «przewodnika». „A, nic specjalnego” - odpowiada - „tylko dacza komendanta milicji. Trochę dalej domki letniskowe funkcjonalistyczne”. Przyznaje, że ogrodzenie powstało ostatnio. Znów tak jak w Charkowie, wydzielono nam teren. Docent Głosek zauważa niezbyt dokładnie uprzągnięte ślady zabudowań. Resztki odlupanej zielonej farby, drobne kawałki eternitu i cegły. Wszystko co tutaj stało, oceania, rozebrano już jakiś czas temu. Dwa, może trzy lata wcześniej. Wyrosło na

tych miejscach leśne poszycie i liczne samosiejki. A zatem? Czyżby spodziewano się nas już dawniej i wówczas zaczęły się przygotowania? Nikt tych pytań głośno nie zadaje. Spoglądamy tylko na siebie.

Profesor Bronisław Młodziejowski, docent Roman Mądro i doktor Erazm Baran wraz z ekspertami kryminalistycznymi: Jarosławem Rosiakiem i Aleksandrem Załęskim przeglądają zdjęcia lotnicze. Niemieckie (przekazane Polakom przez Amerykanów) i ostatnie rosyjskie. Porównują z dziesiętną topografią terenu. Czy na udostępnionym do prac ekshumacyjnych obszarze są groby? Polacy oceniają po wieku drzew (las mieszany z przewagą czterdziestoletnich sosen i brzoź), po zapadliskach ziemi, że być może tak. Nic więcej nie da się powiedzieć. Czy jednak nie jest to (jak najprawdopodobniej w Charkowie) końcówka cmentarza? Czy będziemy zdani na dociekania i poszukiwania na chybił trafił?

Udajemy się w stronę rzeki. Na łagodnym stoku rozbito kilka namiotów o różnych wielkościach. Małe wojskowe miasteczko. Teraz puste.

Znad brzegu Twiercy, gdzie schodzimy, rozciąga się uroczy, jakby zapamiętany z lektur o dziewiętnastym wieku, nie zmacony niczym współczesnym, wiejski krajobraz. Z komina malowniczej chałupy po drugiej stronie rzeki wije się, na tle ciemnych kłębiastych chmur, biała wstążka dymu. Zewsząd tchnie łagodnością i spokojem. To rodzi tęsknotę do myśli niezaginionych. Do dobrych uczuć.

Ktoś głośno mówi, że jeśli oni nie powiedzą, gdzie dokładnie zlokalizowane są mogiły, trudno będzie je odnaleźć. Teren wypoczynkowy pracowników milicji i KGB jest rozległy i ... użytkowany zgodnie z przeznaczeniem. Pojutrze czeka nas zatem wielka niewiadoma.

O 12⁰⁵ pojawia się czarna «Wolga». Jeden nie znany prokurator z Naczelnej Prokuratury Wojskowej ZSRR i dwóch mężczyzn. Rozmowa nie klei się uwagi na brak znajomości języka. Próbuje ratować sytuację polski reżyser - dokumentalista mówiący dobrze po rosyjsku, miłośnik Gogola i nie tylko rosyjskiego humoru.

14 sierpnia wieczorem przyjechał do Tweru prokurator Stefan Śnieżko. Zna język i niezgorzej sowiecką mentalność. Pochodzi z Wileńszczyzny, do Polski zdołał wrócić chyba dziesięć lat po wojnie.

Tego wieczoru otrzymuję przepustkę numer 18, umożliwiającą wstęp na teren ekshumacji. Do tamtej chwili nie było pewne, czy będę mógł być cały czas na miejscu prac.

15 sierpnia, czwartek. Wyjeżdżamy z motelu o 8³⁵. Jest chłodno i pochmurno. W niedużym pękatym autobusie wojskowym znanym z rosyjskich migawek, kierowca-żołnierz, obok niego rosyjski oficer. Towarzyszy nam jeszcze nijaki cywil, o którym już wiemy, że nazywa się Kałasznikow i pracuje w KGB. O godzinie 9¹⁰ dojeżdżamy na miejsce. Kilkanaście samochodów osobowych, dużo wojska. Są między innymi wojskowi prokuratorzy, Aleksander Trietiecki, Stefan Rodziewicz i Anatolij Jabłokow. Jest też wojskowy medyk sądowy doktor Bielajew, który pracował w Charkowie. Stoimy, czekamy. Okazuje się po chwili, że na generała Frołowa. Wreszcie o 10⁰⁵ pułkownik Trietiecki ogłasza rozpoczęcie prac. Wymienia oficjalnie uczestniczących w ekshumacji. Pada również moje nazwisko. Myślę, że to ważne, iż w protokołach będzie wymieniony przedstawiciel polskiej adwokatury. Tymczasem ktoś informuje, iż prace stoją pod znakiem zapytania. Nie wolno niczego doty-

kać gołą ręką po odkopaniu ziemi. Grozi jakaś syberyjska zaraza. Natychmiast te obawy potwierdza rosyjski lekarz epidemiolog. Jazwa syberyjska. Ponoć zakopywano tu padle zwierzęta. Jakoś nikogo to nie przeraża.

Operator koparki zapuszcza silnik. Nie zauważam, kto pokazuje, gdzie należy kopać. O 10¹⁵ - praca przy pierwszym wykopie. Głębokość około metra, może półtora. Docent Głosek zeskakuje w pewnej chwili do dołu. Kilka ruchów szpadlem. „Calec - wola - tu nikt nigdy nie wzruszał ziemi”. A więc nic. Drugi dół. O godzinie 11⁰³ Marian Głosek sprawdza i ten wykop. Również nie tutaj. Maszyna zmienia nieco pozycję. Godzina 11¹⁰, głębokość 60 cm. Docent wymachuje rękami, krzyczy, aby zatrzymać pracę koparki. Podnosi z ziemi daszek od czapki i strzępy jakiejś granatowo-czarnej tkaniny. Profesor Młodziejowski odgrzebuje kość podudzia. „Utrzymać tę głębokość” - poleca. I to polecenie po rosyjsku przekazuje natychmiast operatorowi pułkownik Trietiecki. 11²⁰ - na kolejnych strzępach miedziany guzik z orzelkiem. To fragment polskiego płaszcza policyjnego. Jest też naramiennik i drewniana podeszwa, tzw. apelówka. Następny kawałek munduru i w nim tkwi pocisk. 11³⁸ - podczas kopania nagle wydobywa się z dołu potworny zapach, jakby gryzący, zatykający oddech, zabójczy gaz. Przesiąkają nim włosy, ubranie. Dół wypełnia czarna zawieszista ciecz. O 11⁵⁵ wilgotny fragment czaszki w rękach Młodziejowskiego. Profesor pokazuje mi resztki włosów. Widzę za moment, że ktoś wyjął z ziemi dwa buty oficerskie. W jednym tkwią kości.

12⁰⁵ fragment zielonego munduru, 12¹⁵ - kość piszczelowa w nogawce i kości biodrowe. Kości są czarnobrzowe (...)

Do przerwy obiadowej, do 13¹⁵ odnaleziono niekompletne szkielety czterech osób.

Takie były pierwsze godziny prac w Miednoje. Po południu zaczęło szybko przybywać zarówno szczątków zwłok, jak i resztek odzieży i różnych drobiazgów. Wśród nich niemal kompletna czapka policyjna i skórzana papierośnica z odcisniętą końską głową.

O 16³⁰ znaleziono kołnierzyk policyjnego munduru. **Kołnierzyk jest zaپیęty.** To jedna z tych chwil, gdy szukamy się wzrokiem. I nikt nie mówi słowa.

Pół godziny później pierwsza odznaka policyjna o numerze 1044.

Żołnierze radzieccy, młodzi osiemnasto, dziewiętnastoletni chłopcy, tu także wśród nich wielu Azjatów, przebrani zostali w jasnozielone gumowe kombinezony. Lekarz epidemiolog nerwowo powtarza: „Niczego nie dotykać gołą ręką. Słyszycie?”

Około pięćdziesięcioletni mężczyzna w lornetkowych okularach, dziennikarz z twerskiej gazety, podchodzi do nich, podsuwa mikrofon. Mówi: „jesteście młodzi, tamtych czasów pamiętać nie możecie. Ale co odczuwacie, patrząc na to wszystko?” Oni milczą. Wreszcie jeden z nich odpowiada ciężko oddychając: „Bardzo trudno.” - „Czy wcześniej słyszeliście” - nalega rozmówca - „o tych sprawach? O rozstrzeliwaniu Polaków?” - „Nie” - pada odpowiedź. - „A o Katyniu?” - „O Katyniu coś kiedyś słyszałem” - mówi szeregowy żołnierz o skośnych oczach.

Do czynności śledczych, jakimi były prace ekshumacyjne prowadzone w ramach śledztwa Naczelnej Prokuratury Wojskowej zostali przybrani - jak nas poinformowano - świadkowie. Jacyś bardzo prości, trzej miejscowi ludzie. Pytali, co tu się dzieje? Kogo odkopują?

Jeden z nich, stary już, zaczął się dopytywać, akurat przy mnie, przedstawiciela centrali KGB, małego, otyłego mężczyznę, który w Charkowie chodził po cywilnemu, tu zaś przebrał się w panterkę. Tego samego, który miał zwymyślać pułkownika Trietieckiego za to, że Polakom pozwala się szarogęsić. Kagiebowiec tłumaczy, że Stalin i Hitler podzielili się Polską, Polska przestała istnieć. „Zatrzymano Polaków. To było bezprawne, oczywiście. Stalin kazał ich rozstrzelać w listopadzie 1940 r. bo się obawiał, że ci Polacy będą walczyć przeciwko Związkowi Radzieckiemu”. Stary człowiek pyta, kim byli ci zastrzeleni? Ten, który tu przybył nadzorować prace z ramienia szefostwa KGB, nie bardzo widać wie. Włączam się więc do rozmowy i mówię, że przede wszystkim policjanci, ale również kilkuset oficerów Wojska Polskiego, żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza, członkowie wojskowej służby wymiaru sprawiedliwości...

Człowiek z KGB (jeśli nas nie okłamano, to nazywał się Skobieljew), patrzy na mnie niechętnym wzrokiem. I nagle przerywa: „Jakiej tam sprawiedliwości. Przecież wtedy w Polsce panował straszny reżim, koszmarny totalitarny ustrój, gnębiono naród, było jedno wielkie bezprawie”. Nie wytrzymuję, nie jestem w stanie czegokolwiek tłumaczyć. Obawiam się o własne reakcje, aby już oględnie wyrazić swoje emocje z tamtej chwili. Odchodzę. A wyjaśnienie wszystkiego starszemu mężczyźnie pozostawiam na później.

Pod wieczór pierwszego dnia już wiadomo, że udało się zlokalizować „masowy, wielowarstwowy grób”. Wydobyto szczątki dwudziestu osób. Na pewno Polaków uwięzionych w Ostaszkowie. Niektóre kości czaszek, tak jak

w Charkowie, mają otwory w okolicy potylicznej i czołowej.

Następnego dnia jedziemy do Miednoje nieco inną drogą. Skracamy przy pierwszym drogowskazie. Wjeżdżamy na stary most z mocno zardzewiałymi górnymi przęsłami. Droga jest rzeczywiście znacznie gorsza. Tą drogą właśnie przewożono zwłoki. Ale ten odcinek drogi jest dziś nieprzejezdny. Skracano tuż za mostem.

Ustalenia nie budzą wątpliwości. Zabijano w siedzibie NKWD w Kalininie. Zeznaje o tym żyjący do dziś szef tamtejszego obwodu NKWD, Tokariew - dziewięćdziesięcioletni ślepiec. Mówi z przerażającą swadą - widziałem taśmę video z nagraniem tego przesłuchania. Mordowano w piwnicach. Z Moskwy przyjechało trzech specjalistów, którzy mieli zorganizować likwidację Polaków. Oni to wyciszali najpierw pomieszczenie, gdzie strzelano. A strzelało około piętnastu osób. Niektórzy otrzymali takie polecenie, inni sami się zgłaszali. Osobiście strzelał komendant NKWD w Kalininie, Rubanow. („W latach pięćdziesiątych pomieszały mu się zmysły - zeznał Tokariew - i podobno wykrzykiwał: «ile krwi na moich rękach. Ile krwi samych Polaków»”). Jeden zaś z przybyśców z Moskwy, najważniejszy z nich - Błochin, strzelał, bo lubił strzelać. Ubrał się w skórzany fartuch, zakładał długie rękawice skórzane i czapkę-pilotkę, aby ochronić się przed bryzgającą krwią. Kiedyś ponoć Tokariewowi zaproponował: „Chodź, zobaczysz, jak się to odbywa”. Tokariew twierdzi, że odmówił. Natomiast przyznaje, że uczestniczył w czynnościach poprzedzających rozstrzelanie niektórych jeńców. Młodego chłopaka, przed dwudziestką, dobrze zapamiętał, bo na pytanie o personalia odpowiedział w charakterystyczny sposób,

bardzo szybko. Zaraz potem został zabity. I drugiego mężczyznę zapamiętał, starszego, który zorientował się, że prowadzą go na śmierć. Inni - zdaniem Tokariewa - wychodzili z cel bez takiej świadomości. Ten starszy człowiek błagał o darowanie życia. Powiedział, że ma zaszyte złoto. Przesłuchiwany dziś enkawudzista mówi, że zatrzymano na chwilę tę taśmę śmierci. Ubranie rozpruto, znalezione złoto przekazano zgodnie z przepisami do administracji, a mężczyznę, rzecz jasna, zastrzelono.

Tokariew rozmawia chętnie. To nie wypowiedź funkcjonariusza NKWD z Charkowa - Syromiatnikowa, od którego prokuratorzy musieli wyciągać każde zdanie. Szef kalinińskiego obwodu NKWD z własnej inicjatywy wspomina, że jednemu ze swoich ludzi uratował życie. No bo przyszedł do niego, bodaj kierowca, funkcjonariusz NKWD, i poprosił o zwolnienie ze służby, gdyż nie chce strzelać, a to mu właśnie nakazano. Wówczas Tokariew miał mu doradzić: „Człowieku, jeżeli odmówisz, zastrzelą ciębie”. I ów kierowca poszedł i morderwał. „I tak właśnie uratowałem mu życie” - kończy Tokariew.

Pierwszy transport Polaków z Ostaszkowa liczył trzysta osób. Tokariew mówi, że noc okazała się za krótka. Zwrócono się więc do władzy zwierzchniej o zmniejszenie liczby przywożonych osób. Dwustu pięćdziesięciu zdołano już nocą wymordować. Zwłoki, których głowy często owijano w mundur, by nie krwawiły, wrzucano na ciężarówki wyłożone plandeką. O świcie ruszały do Miednoje. Tą starą drogą. Na teren wypoczynkowy przeznaczony dla funkcjonariuszy NKWD. Tam koparka kopła wielki dół o głębokości około 3 metrów i średnicy 12 metrów. Do niego

wrzucano zwłoki. Maszyna zakopując je, wykonywała kolejną jamę.

Po pięćdziesięciu jeden latach jesteśmy na tym samym miejscu. Jest i koparka. Mozolnie odkrywa coraz większą powierzchnię pierwszej zbiorowej mogiły. Drugi dzień ekshumacji. Doktor Erazm Baran o godzinie 9³⁰ wyjmuje czaszkę szczelnie owiniętą w granatową tkaninę. Patrzę, jak za chwilę z czaszki wyjmuje zachowany mózg. Dobrze widać jego pofałdowania. Po chwili ekspert ten wyszarpuje z ziemi buty. Obok widać fragment zielonego płaszcza lub peleřyny. Czyżby żolnierza-podhalańczyka? Są następne naramienniki policyjne z orłem. Takie nosiła policja śląska. Kości pokryte są grubą warstwą tłuszczowosku, ludzkie ciało przekształca się tak właśnie, w środowisku wilgotnym, bez dostępu powietrza. Zaskakuje jednak wszystkich, że z nieco głębszej warstwy z mazistej czarnoszarej i niemilosiernie cuchnącej mazi, wydobywane są całe niemal zwłoki. Zachowały się w takim stanie, że widać strukturę skóry, paznokcie, rzęsy. W pewnym momencie ujrzałem z mumifikowaną twarz z wąsami. Rozsypała się po podniesieniu.

Zastanawiam się, czy dalej relacjonować te przejmujące obrazy. Ale przecież nikt nie będzie zdawał sobie sprawy z tego, co się tam działo. Co przeżywali uczestnicy misji. Profesor Młodziejowski, docent Mądro, doktor Baran grzęznąc po kolana, szarpiąc, wrywali z ziemi za pomocą szpadli i łomów ludzkie szczątki. Żolnierze rosyjscy dźwigali je z dołu na nosiłkach. Historyk Jędrzej Tucholski, znawca militarów Zdzisław Sawicki oraz archeolog Marian Głosek własnymi rękami rozbierali zwłoki z mundurów, swetrów, a nawet z podkoszulek, onuc i skarpet. Przeglądali każdy skrawek odzieży. Każdy but. Tylko dzie-



Fot. autor

ki takiej pracy można było odnaleźć schowane w kieszeniach lub w butach, albo zaszyte w ubraniu dokumenty i różne przedmioty. Spisywała je przedstawicielka PCK Elżbieta Reif, fotografował Aleksander Załęski, czyścił i fachowo zabezpieczał Jarosław Rosiak z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Policji.

Odnaleziono między innymi 15 odznak Policji Państwowej i Policji Województwa Śląskiego, odznakę służby granicznej i służby więziennej, książeczki wojskowe, różne zaświadczenia, metryki urodzenia, gazety sowieckie, np. „Izwieстія” z 27 marca 1940 r. i „Proletariacką Prawdę” z 2 kwietnia 1940 r. Zachowała się duża ilość polskich banknotów, klucze do mieszkań, ryngrafy, medaliki z Matką Boską, złoty zegarek, zapalniczki, szczoteczki do zębów, maszynki i pędzle do golenia, szachy, listy od najbliższych i wiele zapisków, często z nazwiskami.

Na jednej z kartek odczytałem systematycznie prowadzony lakoniczny dziennik podróży.

„12.IX.39 wyjazd z Łucka. 13.IX.39 wyjazd z Kiwerce, 13.IX.39 przyjazd do Kowla, 14.IX wyjazd z Kowla, 14.IX przyjazd do Kowla, 15.IX (...) Kowel, 16.IX powrót do Kowla, 18.IX wyjście z wojskiem, 19.IX/20.IX przybycie (...), (...) IX rozbrojenie, 29.IX zatrzymanie we Włodzimierzu, 29.IX wyjazd do Równego, 30.IX wyjazd z Równego, 1.X.39 przybycie do Brodów, 28.X.39 wyjazd z Brodów, 29.X. przyjazd do Zdołbunowa, 30.X. wyjazd ze Zdołbunowa, 31.X. przyjazd do Szepietówki, 12.XI wyjazd z Szepietówki, 13.XI wyjazd ze stacji Korosół, 14.XI. wyjazd ze stacji Żłobin, 14.XI.39 wyjazd ze stacji Mohile, 14.XI.39 wyjazd ze stacji Witebsk, 15.XI wyjazd ze stacji Wielik (...), 15.XI. przyjazd do Ostaszkowa, 15.XI wyjazd jeziorem Seliger, 16.XI.39 przy-

jazd Niłowy Pustyń, to jest Ostrów Ostaszków”.

18 sierpnia 1991 r. wyjeżdżamy rano do Ostaszkowa. Odległego od Tweru o około 200 km. Do tego miasteczka docieramy przed południem. Domy, dużo starych drewnianych zabudowań, są bardzo zaniedbane. Nowe osiedle czteropiętrowych budynków wygląda zresztą podobnie. KGB załatwiło przewodniczkę po mieście. Zmuszeni jesteśmy odbyć spacer i wysłuchać historii miasta. Podchodzę wraz z dziennikarką z „Rzeczpospolitej”, (która przyjechała do Tweru na kilka dni) do odpoczywających na ławkach starszych ludzi. Pytamy, czy może coś wiedzą o obozie na wyspie. Wszyscy zagadnięci odpowiadają, że trzymano tam niemieckich jeńców po zakończeniu wojny. O Polakach nikt nie słyszał. Dopiero po obiedzie ruszamy na wyspę. Przed torami kolejowymi zatrzymujemy się. Pułkownik Trietiecki, który także jedzie z nami, mówi, że ta żelazna droga wiodła Polaków ku śmierci. Najprawdopodobniej tam, po prawej - kontynuuje - gdzie widać jakieś drewniane zabudowania, był prowizoryczny przystanek, na którym wsiadali do wagonów. Dalej wieś Saroga i kolejna Załuczje. Od Trietieckiego dowiadujemy się, że mieszkańcy tej ostatniej wsi pamiętają Polaków eskortowanych wczesną wiosną 1940 r. O tym, że to były pochody ludzi idących na śmierć, rzecz jasna, wówczas nie wiedzieli. Polaków prowadzono około 9 km, na skróty, przez zamrażnięte jezioro Seligier. My jedziemy znacznie dłuższą, nową drogą. Piaszczystą, nierówną, prowadzącą przez lasy i pustkowie. Raz pojawia się, raz znika jezioro, to znów widać jakieś rozlewisko. Wyjeżdżamy wreszcie z lasu. Teraz droga prowadzi w dół, przez wąską groblę. Idziemy już pieszko. Przed nami rozciąga się

widok cerkwi i zabudowań klasztornych, położonych na wyspie. Piękne miejsce. Już na pierwszy rzut oka widać, że cerkiew i monastyr w ruinie. Nowa przewodniczka z jakiegoś przedsiębiorstwa obsługi turystów, o wyjątkowo antypatycznej aparycji, natrętnie opowiada o świetnej historii monastyru. Ubarwia ją licznymi legendami. Nie pozwala sobie przerwać. Dobrze „zaprogramowana”. Zostaje przy niej tylko garstka najbardziej zdyscyplinowanych. Rozchodzimy się po terenie. Trochę tu stałych dekoracji - rusztowań mających świadczyć o prowadzonych od lat pracach restauracyjnych. W wielkiej cerkwi ściany wewnętrzne w większości odkute, i to w ostatnim czasie. Próżno więc szukać jakichś śladów. Gdzieś wysoko zachowały się fragmenty wspaniałych fresków. Poniewierają się kawałki starych stiuków. Wraz z profesorem Młodziejowskim zabieramy je jako smutne pamiątki. Wreszcie pojawia się i przewodniczka. Znowu rozpoczyna swoje opowieści. I kończy się w tym momencie cierpliwość najbardziej wytrwałych słuchaczy. Ktoś ją pyta, czy wie jako przewodniczka pracująca w tym obiekcie, że tu właśnie na przełomie lat 1939/1940, więziono Polaków? Zdumiona zaprzecza. A czy słyszała coś o mordzie w Kalininie, dziś Twerze? Też nie. I oto wewnątrz zdewastowanej cerkwi, którą odwiedzała z turystami zapewne setki razy, z elokwentnej informatorki zmieniła się w zaskoczoną słuchaczkę wykładu historii, jakiego udzielił jej Jędrzej Tucholski.

Wychodzimy przed świątynię. Stoi tu kilku trzydziestoletnich robotników, pracujących przy powolnej odbudowie tego zabytku. Któryś z członków ekipy pyta, czy wiedzą, że był tu kiedyś obóz Polaków, których później zamordowano? To



Cerkiew na wyspie. Fot. autor

pytanie wywołuje nerwową reakcję młodego Rosjanina. „Czego tu szukacie? - wrzeszczy. - Daliście nam Dzierżyńskiego, który naszych mordował, a teraz macie odwagę tu przyjeżdżać!”. - Rzucił się do bicia. Gdyby nie szybka interwencja kolegów, którzy go pochwycili i szarpiącego, wykrzykującego przekleństwa, zamknęli w pakamerze, doszłoby najprawdopodobniej do poturbowania stojącego najbliżej polskiego lekarza.

Pamiętałem, że w znanej książce pt. „Katyń w świetle dokumentów” znajduje się wspomnienie kogoś, kto przeżył obóz w Ostaszku. Według jego relacji na jednym z fundamentów bramy prowadzącej do przystani wyryte było „Kowalski 1863”. Odnalazłem tę bramę, częściowo odnowioną. Długo oglądałem stare fragmenty fundamentów szukając tego polskiego śladu. Niestety, bez powodzenia.

Potem jedziemy na pobliski wiejski cmentarz „Trojeruczycykoje”. Pułkownik Trietiecki nagle zniknął, co stwierdziliśmy z niejakim zdziwieniem. Po chwili przyprowadził starszą kobietę. Przedstawiła się nieśmiało jako Anna Pawłowna Obuchowa. Pokazała zarośniętą chwastami polankę na cmentarzu, na której chowano Polaków uwięzionych w dawnym ostaszkowskim monasterze, a zmarłych z wycieńczenia i chorób. Opowiadała, że dobrze pamięta, bo miała wówczas 15 lat, pogrzeby, w których brali udział Polacy w mundurach. „Stali na baczność, modlili się, coś cicho śpiewali” - wspominała. A potem dodała, że tu ludzie szanują groby. Dlatego nikt w tym miejscu nie wykopał nowego, chociaż minęło już pół wieku od tamtych pochówków.

Przewodniczka, wracająca z nami do Ostaszku, miała ze sobą wiązankę niebieskich floksów, kupionych chyba

do domu. Podzieliła kwiaty. Część podała prokuratorowi Śnieżce, część zaś sama złożyła na mogiłach. Odmówiliśmy głośno: „Wieczny odpoczynek, racz im dać Panie”. Na pewno byliśmy tam pierwszymi Polakami od z górą pięćdziesięciu jeden lat.

I tutaj trudno powstrzymać się od jeszcze jednej smutnej dygresji. Groby polskie zarówno na wiejskim cmentarzu koło Ostaszkowa, jak i na starym cmentarzu w Starobielsku pozostają w stanie skrajnego zaniedbania i zapomnienia. Jest dziś czymś doprawdy trudnym do zrozumienia, że ani nasze służby konsularne, ani organizacja do tego powołana w kraju, w której ważną funkcję pełni ów doktor historii współczesnej, o którym pisałem w I części, nie wykazały do tej pory żadnego zainteresowania mogiłami tych wszystkich, zamęczonych w nieludzkich warunkach, których nie

zglądono w podziemiach siedziby NKWD w Kalininie.

W tym budynku mieści się teraz Instytut Medycyny. Przed wejściem tablica informuje, że 24 sierpnia 1926 r. przed słuchaczami gubernialnych kursów wystąpiła z wykładem na temat likwidacji analfabetyzmu N.K. Krupskaja. Prorektor tej wyższej uczelni, który nas przyjął, pięćdziesięcioletni mężczyzna o myślącej twarzy, najpierw opowiada o historii Instytutu. Ale dość szybko milknie. Na pytanie, czy wie o dokonanym tu mordzie, odpowiada, że oficjalnie, to nikt go o tym nie poinformował. „A nieoficjalnie?” - nalegamy. Odpowiada, że o całej sprawie dowiedział się kilka dni temu z gazet. Sprowadza nas do piwnic. Szuka kontaktów, błądzi. Nie udaje, widać, że nie często odwiedza te miejsca. Wyjaśnia przy tym (jest jednak trochę przygotowany do naszej wizyty), że w latach pięćdziesiątych był remont. In-



Piwnica siedziby NKWD. Tu strzelano? Fot. autor

stalowano bodaj urządzenia ogrzewcze i zapewne inaczej to wszystko teraz wygląda niż w czterdziestym roku. Prorektor zostawia nas samych. Chodzimy po pomieszczeniach o lukowatych sklepieniach, po labiryncie korytarzy, oglądamy drzwi, które być może prowadziły do cel, w których przetrzymywano przez krótki czas przywiezionych z Ostaszkowa. A gdzie Ich zabijano? Tych 6.295 Polaków? Którymi schodami wynoszono zwłoki? Kilka wyjść prowadzi z piwnic na podwórze. Na pewno tu stały nocą ciężarówka.

Czy dociekania te - zapyta być może ktoś - mają jakikolwiek sens? Niektórzy z nas dotykają pobielonych grubych murów, kamiennych świadków zbrodni, pochylają się, dotykają posadzki, po której popłynęła krew.

„Rzeczywistość jest do zniesienia - pisała Zofia Nałkowska - gdyż jest niecała wiadoma. Dociera do nas w ułamkach zdarzeń, w strzępach relacji. Wiemy o spokojnych pochodach ludzi idących na śmierć. O skokach w płomień, o skokach w przepaść. Ale jesteśmy po tej stronie muru”. Sięgamy teraz po listy, które przyszłe ofiary otrzymały od najbliższych, a które niezwykłym zbiegiem okoliczności przetrwały w grobach ponad pięćdziesiąt lat.

„Kochany Tatusiu, co słyhać koło Tatka, czy Tatus jest zdrowy. My jesteśmy zdrowe, proszę uważać na siebie (...)”

„Kochany Jurku! Już pisałam do Ciebie kilka listów, lecz żadnej nie miałam wiadomości. Ja mieszkam z dziećmi na starem. Zdrowo się czujemy (...) malutką już ochrzciłam. Chowa się zdrowo. Żyję z łaski rodziny, zapomogi dost(...) U nas bardzo drogo, ale dostajemy na kartki. Wacek pisze z Niemiec i wysyła-

my mu paczki. Jest (...) i pracuje w (...) Pozostaje kochająca żona z dziećmi Siedlce, Rozkosz 59, 12.3.1940”.

„(...) Bo nie wyobrażasz sobie, ile ja nocy nie spałam jak (...) odjechał, ciągle myślałam, gdzie jesteś, co robisz i czy w ogóle żyjesz (...) było straszne do zniesienia, ale to przeszło i będę teraz spokojnie spała (...) że żyjesz, że wrócisz, że (...) to za 2, 3, 4, ale wrócisz, prawda, kochaneczku? I będzie znów nam tak dobrze, jak kiedyś, prawda? Zbyszek krzyczy: mamusia (...) napisz, żeby (...) przyjechał (...) Witold (...) Leszek tylko krzyczy: Ta ta ta, nawet nie daje mi listu napisać do tatusia. Kończę więc. Kocha mocno i tęskni (...) Całuję cię wraz z dziećmi. Zbyszek (...) Leszek (...)”.

19 sierpnia w poniedziałek, przy śniadaniu, dowiaduję się od profesora Młodziejewskiego, że usłyszał w radiu informację o wprowadzeniu w Związku Radzieckim stanu wyjątkowego. Nasz opiekun z KGB dementuje jednak tę informację po wejściu do autobusu. Mówi, że wszystko jest w porządku, tylko Gorbaczow „poszedł w odstawkę”, powołano Komitet, na pół roku, który panuje w pełni nad sytuacją. Deszcz leje niemiłosiernie. Po przyjeździe do Miednoje okazuje się, że tu, w wojskowym miasteczku, o niczym jeszcze nie wiedzą.

Pułkownik Trietiecki, który sypia w namiocie, od nas dowiaduje się o tym, że coś się dzieje. Przyjeżdża pułkownik Stefan Rodziejewicz (Stiepan Stiepanowicz Rodjewicz). Dokładnie informuje o treści komunikatu. Widać, że on i inni wojskowi prokuratorzy są poruszeni. Wiedzą, co może ich czekać. Jaka praca. Jakie decyzje.

Prokurator Śnieżko zachowuje spokój. Mówi, że niewykluczone, iż każą się

nam natychmiast stąd wynosić. Nie wiadomo, jak to się będzie odbywać. Najważniejsze, aby zabezpieczyć posiadaną dokumentację. Najlepiej chyba będzie zostawić ją w ambasadzie. Niewykluczone, że tam wypadnie pozostawić wszystkie rzeczy.

Mimo ulewy i wyraźnie napiętej atmosfery nadal trwa praca. Steżenie grobowego odoru jest tak silne, że trzeba dużo samozaparcia, żeby zbliżyć się do wykopu. Niektórzy żołnierze sowieccy pracują w maskach przeciwgazowych. W dole, bez masek doktor Baran oraz profesor Młodziejowski. Mają zmęczone i zachlapanne błotem twarze. Ktoś do nich krzyczy, żeby wyszli chociaż na chwilę i odetchnęli świeżym powietrzem, bo się zatrują. Młodziejowski podnosi głowę: „Może Pan Bóg - mówi - weźmie nas przynajmniej na kilka dni do nieba, za przebywanie tutaj”. Obaj nie przerywają wydobywania zwłok. Jest już ich około siedemdziesięciu. A z przedmiotów odnaleziono, między innymi, całą czapkę polową, złotą monetę pięciorublową, złotą obrączkę, metalowe etui na paczkę zapalek z wygrawerowanymi niefachowo inicjałami A.B. i napisem: „Pamiątka wojny europejskiej 1914 - 1917”.

Niektóre osoby nie były w stanie obsłużyć tej ciężkiej pracy. Zwłaszcza zaś czynności wykonywanych przez prof. Młodziejowskiego i dr Barana. Patrząc na nich można było pomyśleć, że są wyzbyci wszelkich emocji i wzruszeń. Tak rzeczywiście mogło się wydawać. Ja jednak pamiętam, że któregoś dnia, już pod wieczór, doktor Erazm Baran, po zdjęciu ubrania roboczego, po umyciu się i przebraniu, podszedł nad brzeg ogromnej mogiły, której dna wciąż nie było widać. Nie zauważył, gdy stanąłem obok. Zachowałem się, wyznaję,

niewłaściwie. Zobaczyłem bowiem twarz z wyrazem nie przeznaczonym dla nikogo. Tej twarzy z owej chwili nigdy nie zapomnę.

Docent Roman Mądro zwrócił się do mnie z prośbą, abym pomógł przy sporządzaniu dokumentacji. I tak oto, w pierwszym dniu puczu, przestałem być tylko obserwatorem. Zasiadłem wraz z tym wytrawnym medykiem sądowym i pod jego dyktando opisywałem wydobywane z mogił czaszki. Przez moje ręce do końca ekshumacji przeszło ich 243. Oto fragmenty niektórych z tych opisów:

„Kompletna czaszka wraz z żuchwą. Czarna. Męska. **Włot:** Tuż powyżej kreśły karkowej środkowej po stronie lewej 2,5 cm. 7x7 mm. **Wylot:** 2 cm powyżej górno-przyśrodkowego kąta oczodołu prawego 7x10 mm”

„Prawie kompletne, zdeformowane kości sklepienia czaszki z przylegającym wyrostkiem sutkowatym lewym i lewą kością skalistą. Żuchwa. (...) Do powierzchni kości przylega tłuszczowosk. **Włot:** Tuż poniżej i nieco w lewo guzowatości potylicznej zewnętrznej o średnicy 8x8 mm. Kość w tym miejscu b. gruba, widoczny odprysk nieregularny, od strony blaszki wewnętrznej. **Wylot:** W środkowej części okolicy czołowej 8x11 mm”

„Kompletna mózgo-czaszka. Bez żuchwy. Czarna. Ciężka, nieco zdeformowana. (...) **Włot:** 13 mm powyżej otworu potylicznego, nieco po lewej, średnica 8x9 mm. **Wylot:** Nieregularnego kształtu w zewnętrznej części kości czołowej po stronie lewej o średnicy ok. 12 mm”

„Czaszka kompletna, bez żuchwy. Męska. **Włot 1:** tuż poniżej i po lewej stronie guzowatości potylicznej zewnętrznej 11x14 mm. **Wylot 1:** prawdopodobnie w obrębie jamy nosa. **Włot 2:**

w obrębie łuski kości skroniowej prawej 10x11 mm. **Wylot 2:** prawdopodobnie w okolicy stawu skroniowego lewego (ubytek kości stanowiący jego przyśrodkowe obrzeże)”.

Opisy te stanowiły podstawę dokumentacji z prac ekshumacyjnych, zamieszczonej potem w oficjalnym protokóle. Na 243 ekshumowane szczątki osób, u 137 stwierdzono w sposób pewny, że śmierć była spowodowana strzałem w głowę. W pozostałych wypadkach z powodu niekompletności lub zdeformowania kości czaszek, nie istniała już możliwość poczynienia ustaleń. Przykładowo: „Zachowane: środkowa i lewa część kości czołowej wraz z gładyszka i górnym obramowaniem lewego oczodołu, fragment przyśrodkowy lewej kości ciemieniowej prawej i górna część łuski kości potylicznej. Gładyszka i łuk brwiowy typowo męskie. **Bez uchwytanych obrażeń postrzałowych**”.

Docent Roman Mądro oglądał dokładnie każdą wydobytą czaszkę, pokazywał obrażenia postrzałowe, i objaśniał, które z uszkodzeń kości wskazują na kanał pocisku. Przekazywał mi tę niezwykłą wiedzę spokojnym głosem profesjonalisty. Przyznawał jednak, że uczestniczenie w tych pracach ekshumacyjnych dla niego także jest wielkim przeżyciem. Dla niego, który tak dużo czasu spędza w prosektorium. W którymś momencie powiedział: „Wie pan, o czym się tu przekonałem? Że suma doświadczeń, to znacznie mniej od jednorazowego doświadczenia sumy”.

Pierwszego dnia moskiewskiego puczu, z godziny na godzinę, narastało napięcie. W godzinach popołudniowych do siedziby KGB w Twerze został wezwany pułkownik Trietiecki. Zabral ze sobą wszystkich radzieckich prokuratorów. Wieczorem już wiemy, że zażądano od niego natychmiastowego przerwania



Od lewej: doc. Roman Mądro i autor. Fot. A. Zająłski

prac. Miał odpowiedzieć, że ma swoich przełożonych i od nich będzie oczekiwał ewentualnych poleceń.

Po południu tego dnia podszedł do mnie podpułkownik doktor Bielajew. „Co to będzie?” - zapytał. - „Mnie się pytacie?” - odparłem. - „Jedyna nadzieja w Jelcynie” - wyszeptał. - „Bo inaczej czeka nas koszmar”.

20 sierpnia rano przemówił zdenerwowany, jakby nieco zażenowany, oficer KGB - Kałasznikow. Sytuacja staje się jednak poważna. To wskutek nawoływania Jelcyna do niepodporządkowania się Komitetowi. W Moskwie barykady, w niektórych kopalniach strajki. Nowe władze przewidują wariant rumuński. W tej sytuacji nasze prace muszą być natychmiast przerwane. Grozi nam bowiem niebezpieczeństwo. I to niebezpieczeństwo utraty życia. Prokurator Śnieżko zażądał wyjaśnienia, na czym to zagrożenie polega. I z czyjej strony? Z czyich rąk mamy ginąć? Wówczas oficer KGB wyjaśnia, że dzisiaj to oni - i inne służby bezpieczeństwa - na tyle panują nad sytuacją, iż mogą jeszcze odstawić nas do granicy. Jutro nie biorą już odpowiedzialności. Usłyszeliśmy, że tutaj, w Twerze, żyje wielu stalinowców, tak się dosłownie wyraził, którym bardzo nie podoba się to, co tu robimy. Że odgrzebujemy niepotrzebnie przeszłość. Właśnie ci ludzie, według ich rozeznania, zwrócą się przeciwko nam. Niektórzy z nich mogą być tak agresywni, że KGB i inne organa w chwili rozprzężenia społecznego nie będą ich w stanie powstrzymać.

Dobrze pamiętam, że w tamtej chwili zachowując spokój, nie byłem jednak pewien, czy po prostu skutecznie się nie oszukuję. Ale naprawdę nie znajdowałem w sobie lęku. Czyżby ów speszony, rumieniący się oficer nie był w stanie

mnie przestraszyć? - zastanawiałem się. Czy też raczej ostatnie doświadczenia, które miałem za sobą, wywołały taki skutek, że przestałem się już bać cokolwiek? Zwłaszcza z ich strony. Pomyślałem też wtedy, że ten funkcjonariusz KGB i ci, których polecenia nieudolnie wykonywał, jeszcze raz udowodnili - szukając pretekstu do przerwania ekshumacji - że ta sprawa nie jest sprawą zamkniętą. Że wpływa na ich, Rosjan, świadomość, a tym samym i na naszą, całkiem odmiennie od innych faktów historycznych.

Tymczasem wieczorem, drugiego dnia puczu, od przelatujących eskadr samolotów drżą szyby. W polskiej ekipie spokój. Tylko jeden uczestnik misji zdradza pewne objawy paniki. „Uciekajmy póki czas” - słyszymy. A potem z tych samych ust: „Tylko kupię jeszcze wiertarkę. Przydałaby się też składana kosa”.

Stan niepewności utrzymywał się jeszcze 21 sierpnia do późnych godzin popołudniowych, choć Trietiecki witał nas rano, tak jak i poprzedniego dnia, z kciukiem skierowanym ku górze i słowami: „Wsio normalno”. Dopiero po obiedzie dowiadujemy się o upadku puczystów. Prokuratorzy i lekarze radzieccy nie ukrywają radości. Również dowódca oddziału żołnierzy, którzy pracują przy ekshumacji. Ta postać jest godna odnotowania. Był to podpułkownik z kante-mirowskiej, ponoć elitarnej, dywizji. Otóż okazało się, że wyższy oficer sowiecki nie wiedział, że II wojna światowa wybuchła w 1939 r. (dla niego tą datą był czerwiec 1941 r.). Zdumiał się słysząc, że Związek Radziecki napadł na Polskę. Nie został poinformowany, w jakich okolicznościach i kiedy zgładzono Polaków, których mogiły przyszło mu teraz odkrywać. Wzruszeń u niego nie dostrzegłem. Wykonywał zadanie su-

miennie, zgodnie z otrzymanym rozkazem. Kiedyś tylko mimochodem napomknął, że dopiero teraz oczy mu się otworzyły.

Rosjanie bardzo chcieli uczcić - jak to mówili - zwycięstwo demokracji. Następnego dnia, przed kolacją, zostaliśmy wszyscy zaproszeni do połowego kasyna oficerskiego w Miednoje. Przemówił wylewnie, z zachowaniem reguł partyjnej retoryki, generał Władimir Kupiec z Naczelnej Prokuratury Wojskowej ZSRR. Odpowiedział zwięźle prokurator Stefan Śnieżko, mówiąc, między innymi, że zwłaszcza nam idea demokratycznej Rosji jest bliska, gdyż bez takiej Rosji, wolność Polski będzie trudną wolnością. Do skromnego posiłku podano... cebulę. Tak, jedliśmy ją, wstyd może przyznać, łapczywie. U niektórych z nas zaczęły się ujawniać pierwsze objawy awitaminozy.

W tym „przyjęciu” nie wzięli udziału tylko czterej funkcjonariusze KGB, którzy cały czas mieli na nas wszystkich baczenie. W tym czasie zeszli nad rzekę. Jak doniósł nam jeden z rosyjskich żołnierzy, w krzakach pili wódkę. Do Tweru nie wracali już z nami.

Prace ekshumacyjne zdecydowano się kontynuować tylko w jednym wykopie. W narzuconym terminie nie istniała bowiem możliwość rozszerzenia miejsc eksploracji. W wykopie nr 1 po kilku dniach robót, na głębokości około półtora metra, łyżka koparki zawadziła o jakąś murowaną konstrukcję z białej cegły. Odstonięto ją już ręcznie. Było to szambo w kształcie prostokąta o wymiarach 150 x 180 cm. W pobliżu ścian zostały odnalezione pojedyncze ludzkie kości, podeszwa buta, a także puszkę po konserwie z datą: 1965 r. Budowniczości tego dołu kloaczego wiedzieli, że dokopali się do mogiły. Gdy fakt zlokalizowa-



Fot. autor

nia szamba na cmentarzu stał się bezsporny, ktoś wspomniał o zwyczaju plemion Wschodu. Załatwiali oni potrzeby fizjologiczne na ciała zabitych wrogów. To zbyt ponure. Przed takimi skojarzeniami należy się bronić.

Wiele przemawia za tym, że Rosjanie dobrze wiedzieli, gdzie znajdują się polskie mogiły w Miednoje. Wprost jednak tego nikt nie powiedział. Polecili kopać tuż obok grobu. Chcieli, to pewne, ograniczyć prace do jednego tylko miejsca. Ale tak jak w Charkowie, Polacy zdołali i tu postawić na swoim. Oczywiście na tyle, na ile to było możliwe. Wykopano 29 dołów sondażowych. W pięciu ponad wszelką wątpliwość znajdowały się zwłoki Polaków. Podczas kopania, przy dwóch mogiłach, natrafiono na metalowe rury.

Później, na dzień przed pogrzebem, gdy żołnierze czyścili teren, i na dobrą sprawę, nie wiadomo po co zrywali ściółkę leśną, przechodząc potknąłem się o coś. Dostrzegłem wystającą końcówkę rury białej w ziemię. Pokazałem ją profesorowi Młodziejowskiemu. Zaczęliśmy wówczas chodzić w pobliżu tych dołów sondażowych, o których było wiadomo, że kryją zwłoki. I Młodziejowski odkrył jeszcze dwie takie rury. Bezceremonialnie zapytał pułkownika Turkiewicza z miejscowego KGB, co mają oznaczać te rury, kto i kiedy je wkopał? Turkiewicz okazał zdziwienie. Bez zmruczenia oka oświadczył, że widzi te rury po raz pierwszy.

Od polskiego konsula w Moskwie Michała Żórawskiego dowiedziałem się, że długo zwlekano z ujawnieniem mogił w Miednoje. Konsul mówił, że informację o zlokalizowaniu grobów znalazł na biurku rok wcześniej na nie zaadresowanej i nie podpisanej kartce. W listopadzie 1990 roku pojechał do KGB w Twer-

rze. Nikt z nim nie chciał rozmawiać na ten temat. Wyczuwał wyraźną niechęć. Potem raz jeszcze zjawił się tam z polskim generałem. Też nic bliższego się nie dowiedzieli. Zmianę w nastawieniu do sprawy zauważył dopiero, gdy śledztwo przejęła Naczelna Prokuratura Wojskowa.

Sam również mogłem zaobserwować zasadniczo różny stosunek wojskowych radzieckich prokuratorów do naszej ekipy i do samej ekshumacji, od postawy wykazanej przez funkcjonariuszy KGB, zwłaszcza z Tweru. Do prowadzenia polskiej sprawy oddelegowano szczególnie zaufanego prokuratora, być może najlepszego. Aleksander Władimirowicz Trietiecki służył w Afganistanie. Otwarcie przyznawał, że jego idolem, wzorem do naśladowania, jest generał Gromow, u boku którego - ostatniego żołnierza sowieckiego opuszczającego Afganistan - przekroczył most graniczny. Trietieckiego wysyłano później także do Górnego Karabachu. Był wszędzie tam, gdzie działo się coś niedobrego dla interesów Kremla. To czterdziestokilkuletni, silny, zdrowy mężczyzna. Inteligentny. Opanowany. Okazywał taktowne zrozumienie dla naszych starań. Wydawało się, że rozumie dramat, jaki przeżywaliśmy. Oburzały go niegodne zachowania. Przypuszczam, że musiał przekonywać wielu swoich, że nie powinno się Polakom przeszkadzać. Przy tym nie utracił ani na chwilę kontroli nad sytuacją. Trzeba wprost powiedzieć: wzbudzał zarówno szacunek, jak i sympatię. Czy jednak - to pytanie, od którego uciec nie wolno i często zadawano mi je po powrocie do kraju - nie prowadził jakiejś fałszywej gry? No cóż. Nie jest to prosta odpowiedź. Pułkownik Trietiecki na przykład nie krył, również w rozmowie ze mną, że jest niewierzący. Natomiast do innych

niby mimochodem wspominał, że w Afganistanie życie uratowała mu Matka Boska. Podczas nabożeństw, odprawianych przez księdza Zdzisława Peszkowskiego, czytał Pismo Święte. A w podziemiach twerskiej siedziby NKWD przyjął z rąk polskiego kapłana komunię świętą. Czy świętokradczą? Myślę, że nie należy silić się tutaj na odpowiedź. Ale pojawił się wówczas jeszcze jeden mocny znak zapytania. Czy aby nie odgrywano czegoś na nasz użytek?

Jakie były zatem jego, prokuratora Trietieckiego zamiary? Jakie jego zwierzchników? O prawdziwe intencje strony rosyjskiej należy pytać. Głośno i publicznie. Nie służą temu ugrzecznione relacje o przebiegu prac ekshumacyjnych. Wyczuwam w nich zakorzeniony strach przed sowieckim i rosyjskim niebezpieczeństwem. Myli się ten, kto ów strach zalicza do mitów. Bo właśnie on rodzi różnego rodzaju kunktatorstwo. Uzasadnione rzekomym dobrem sprawy. Lepiej ich nie drażnić. Bo inaczej nie zgodzą się na to lub na tamto. Otóż tak te sprawy stawiać nie wolno. Jest ona, to często powtarzam, równie sprawą polską, jak rosyjską. Nie zakończą jej krzyże postawione w Charkowie i w Miednoje. I nie chodzi przy tym wyłącznie o doprowadzenie do założenia rzeczowych, nie zaś tylko symbolicznych cmentarzy wojskowych. Niemożliwą do zaakceptowania byłaby sytuacja, kiedy stojąc obok krzyża będziemy mówić: polskie groby mogą być tam, po lewej stronie, ale również 100 metrów za ogrodzeniem, gdzie akurat ktoś przed sanatorium lub daczą korzystać będzie z kąpielii słonecznej. Od żądania ekshumacji wszystkich szczątków ofiar i ich godnego pogrzebania odstąpić nie wolno bez względu na irytację drugiej strony.

Nie zamknie tego tragicznego rozdziału wspólnej historii także postawienie przed sądem trzech sprawców, o których nas poinformowano, że żyją. Ani powiedzenie, że główną winę ponosi Beria, Stalin czy całe Biuro Polityczne w takim to a takim składzie.

„Zbrodnia Katyńska” zaważyła ciężko na polskich losach w czasie wojny i po jej zakończeniu. Dziś rodzi odmienne emocje, ale o równie daleko idących konsekwencjach, na które zamykanie oczu jest po prostu czymś niewybaczalnym. Dlatego prawda o tej tragedii musi być postrzegana w wielu płaszczyznach. Także w płaszczyźnie winy, jaką określa historia. Ocena tej zbrodni jest jednoznaczna. I nie może ulec zmianie. Jej świadomość będzie organizować myślenie zarówno jednego jak i drugiego społeczeństwa. Od jednoznacznego przyznania, czym w istocie była ta zbrodnia, jaki cel zamierzono osiągnąć i jakie skutki wywołała, a także od formy zadośćuczynienia zależy, ile będzie lęku, ile nienawiści. Jaki będzie stosunek Polaków do Rosji. Nie zapominajmy i tego: także Rosji do nas!

Nadszedł czas, aby swoją postawę wyraźnie określili Rosjanie. Myślący i wolni. Ich głosu w tej relacji brakuje. Powinni się tym zająć inni. Bo jest to droga tylko w nieznacznym stopniu przetarta filmem rejestrującym współczesne relacje mieszkańców okolic Katyń.

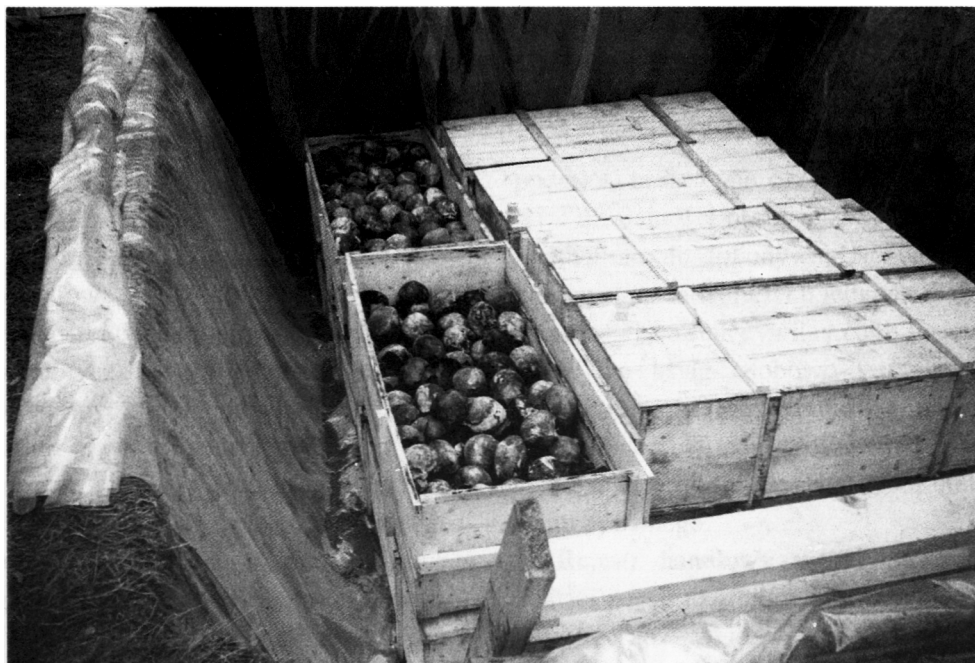
Ktoś powie, że odnajdywanie tych, którzy są zdolni, którzy winni potępić zbrodnię skierowaną przeciwko narodowi polskiemu nie jest naszym obowiązkiem. To prawda, budzi zdumienie, że dotychczas nie zabrały głosu z należytą siłą autorytety moralne; przecież ich nie brakuje wśród rosyjskich uczonych, artystów, pisarzy i rosyjskiego duchowień-

stwa. Ale czy to właśnie nie stwarza szczególnej sytuacji? Nie, nie chcemy Rosjan pouczać. Mamy jednak prawo poznać przyczyny tego milczenia, próbować wyjaśnić, czym jest spowodowane. To milczenie zaczyna już obrastać rozmaitymi wątpliwościami. Ta sytuacja z utrzymaną nadal przez władze rosyjskie tajemnicą sprawy z całą pewnością nie służy unormowaniu wzajemnych stosunków. Wręcz odwrotnie, wzmacnia, otwarcie powiedzmy, w tym stanie rzeczy uzasadnioną naszą nieufność.

26 sierpnia w wykopie nr 1 dotknięto dna na głębokości 3,8 metra. Szczątki zwłok wydobywano jeszcze przez dwa dni. A potem z godziny na godzinę zaczęły łagodnieć dotychczasowe widoki. Najpierw w wielkie skrzynie włożono ogromne ilości odzieży i obuwia. Zasypano je w wyeksplorowanej mogile. Na

tym miejscu postawiono brzozywy krzyż. Takimi krzyżami oznaczono wszystkie miejsca, w których prace sondażowe pozwoliły stwierdzić istnienie masowych grobów.

Szczątki niespełna 250 osób składaliśmy do wielu trumien. Na miejsce ich pochowania wybrano polanę na małym wzniesieniu, gdzie wkopano drewniany, kilkumetrowy krzyż. Pod nim, nad odkrytą mogiłą, 31 sierpnia 1991 r. odbyły się uroczystości pogrzebowe. Do lasu w Miednoje, który w niczym już nie przypominał tamtego strasznego krajobrazu, przybyła wraz z rodzinami pomorodowanych delegacja państwowa z przedstawicielami Komendy Głównej Policji, Urzędu Ochrony Państwa, Komendy Głównej Straży Granicznej, Żandarmerii Wojskowej, Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych i Służby Więziennej.



Przed pogrzebem. Fot. autor

Rozległy się dźwięki hymnu narodowego. Wystąpił wiceminister spraw wewnętrznych prof. Jan Widacki.

Mszę żałobną celebrował biskup polowy, generał brygady Sławoj Leszek Głódź. „Dlaczego zginęli?” - zapytał w homilii. - „W iluż to polskich sercach rozbrzmiewało przez lata to

pytanie. Dlaczego? Pytamy i dziś z tym samym dramatycznym napięciem...”.

Salwę honorową oddała kompania reprezentacyjna Policji. Do grobu opuszczono ostatnią trumnę, spowitą w biało-czerwoną flagę ze wstęgą Krzyża Virtuti Militari. Złożono wieńce i kwiaty.

Ekshumacja, w ramach czynności śledczych, dobiegła końca.